



**Teatr Ziemi Pomorskiej**  
w Grudziądzu

**Andrzej Bursa**

**ZWIERZĘTA**  
**HRABIEGO CAGLIOSTRO**

(WARSZTAT ADEPTÓW)

Udział biorą:

**ALBANDYN – Anna Gielarowska**

**BARTŁOMIEJ – Waldemar Kociuba**

**KATARZYNA – Ina Kładź**

Opieka artystyczna:

**Jacek Zembrzuski**



## SZCZURY

Chcieliśmy mieć najpiękniejsze zwierzęta,  
Drapieżniki piękne i złote,  
Pokochaliśmy skok, galop i tętent,  
Fosforyczny blask kociego oka.

Nasza stałość, której nie zmieni  
Nawet układ gwiazd, jakim obrazem  
Ma się sycić... chyba walką jeleni  
Podpatrywać tygrysi szmer wśród głazów.

Mówiąc tak, szliśmy ulicą pustą  
Zmordowani ustami, dłońmi,  
Gdy księżyc okrągłe lustro  
Zakrył obłok burzy niespokojny.

Noc dusiła mściwym, późnym majem,  
Aż na chodnik z betonowej rury  
Histerycznym cichym wyrajem  
Wyskoczyły rozpasane szczury.

Szybko, zwinnie, lubieżnie ...cicho sza,  
Szczurze płasy, śmietników girlandy  
Szczur się płoni, szczur na flecie gra,  
Szczur różami obsypuje szczurzą bandę.

Łóżem, salą betonowe rury,  
Tańce, harce, zaloty bezszelestne.  
Otoczyły ruchliwe wieńce szczurów  
Patetycznych kochanków współczesnych.

## SZACHY

Mój kumpel, tępy i złośliwy jak sto mułów, przynosi stalową szachownicę i pyta: — Grasz? —  
Ha ha, znam ten kawał. Wiem, że w miarę gry moje figury rozpalają się do białości. Już przy trzecim ruchu będą syczeć przy dotknięciu, zwęglać naskórek. Ale gram, oczywiście, że gram. Szach, garde, szach. Tracę dwa konie i wieżę, a palce dymią mi jak fabryka. Próbuję przesunąć piona paznokciem, ale napotkawszy ironiczne spojrzenie partnera zaniechuję tego. Partner jest zresztą wspaniałomyślny. — Stracisz królowkę — ostrzega — cofnij ten ruch. — W ten sposób pomnaża się moja tortura.

Gdy bije mi drugą wieżę, mam ochotę się poddać, zaprzestać tej idiotycznej udręki. Ale przecież on się odsłonił. Więc krzywiąc się z bólu, znów robię jakiś ruch fatalny. — Hi hi — rechocze mój tępy kumpel — tak jak w życiu. — Na lepszy dowcip go nie stać, to już końcówka. Ostatnim oparzeniem przesuwam króla na miejsce mata nieodwoalnego.

Kumpel rechocze i zagarnia szachy.

Wtedy wołam: — Teraz rewanz!

1957

## PRZYJAŹŃ

W słoneczny, wrześnieowy ranek dwaj studenci szli szeroką ulicą Wielkiego Miasta. Niebo było bez chmurki, a liście drzew rosnących na chodnikach koloru plakatów na pobliskim kiosku. Studenci byli bardzo głodni i bez grosza w kieszeni. Poza tym Wielkie Miasto nie było ich rodzinnym miastem, a nocowali w internacie, którego kierownik oświadczył im właśnie dziś rano, że już więcej nie mają co na niego liczyć. Nie wspominam, że nie posiadali funduszków na kolej do swego rodzinnego miasta, bo tego czytelnik sam się domyśli. Mimo to byli pogodni tą dziwną pogodą, jaką daje młodzieńcza eskapada w nieznanę.

Akurat mijali klinikę miejską, gdy jeden z nich wskazał koledze duże, oszklone okno:

— Patrz, sala operacyjna.

— Pomyśl, jak dobrze — rzekł drugi — że mimo wszystko nie leżymy tam teraz.

W tej chwili najechał go samochód. Wieczorem odbyła się operacja. Drugi student znalazł przy obolałym koledze pięćdziesiąt groszy i gdy tamten tylko się obudził z chloroformu, oświadczył mu, że jest świnią, bo schował przed nim forszę, i że zrywa z nim na całe życie.

Morał:

Nie rozmawiać przechodząc przez jezdnię.